



Z prawej: Basti, raper patriotyczny. Z lewej: raperzy podczas koncertu „Waszej pamięci żołnierze wyklęci” w Krakowie.



Polski rap przeszedł długą drogę od marginalnego statusu do muzyki ważnej i przyno-
Przy okazji pojawił się fenomen „rapu patriotycznego”, który dziś jest poręcznym

Rap, honor, ojczyzna

MIROŚLAW PĘCZAK

Ta historia jest ciekawa również dlatego, że pokazuje, jak zrodzone w czarnych gettach amerykańskich aglomeracji zjawisko subkulturowe może się przekształcić w ponadgraniczną modę młodzieżową. Jak może trafić do Polski, zyskując przy tej okazji lokalną specyfikę, i w efekcie stać się obiektem zainteresowania polityków. O okolicznościach i przyczynach tego procesu opowiada książka kulturoznawcy Piotra Majewskiego „Rap w służbie narodu. Nacjonalizm i kultura popularna”.

„Afroamerykańska kultura hip-hopowa zaferowała polskiej młodzieży zestaw symboli i przedmiotów, które zaczęły być przez nią przetwarzane w nieograniczonej liczbie kombinacji – pisze Majewski. – Ludzie konstruujący polską wersję kultury hip-hopu zaczęli nadawać im nowe znaczenia, odwołując się do własnych doświadczeń i lokalnego kontekstu społeczno-kulturowego. Przede wszystkim polscy raperzy tworzyli wielowarstwowe opowieści o konsekwencjach transformacji, które w pewnym stopniu poruszały podobne tematy i problemy zajmujące raperów afroamerykańskich, doświadczających efektów »konserwatywnej rewolucji«”.

W pierwszej dekadzie III RP cała pierwsza fala polskiego hip-hopu, włącznie z tzw. rapem ulicznym, chętnie eksponowała w swoich przesłaniach wątki skrajnej niesprawiedliwości społecznej, braku

perspektyw dla środowisk spoza grup uprzywilejowanych, powszechnej przemocy, korupcji i załgania wśród polityków. Taki obraz świata można znaleźć nie tylko w tekstach reperów wywodzących się z ubogich rodzin – jak Peja – ale też, co podkreśla Piotr Majewski, tych, których rodzice „byli beneficjentami nowego systemu ekonomicznego i przemian politycznych”. Można zatem mówić, że antysystemowy dyskurs stał się jednym z atrybutów rozpoznawalności całej sceny. Niezależnie od tego, że jakaś jej część, godząc się na kompromisy z komercyjną estetyką popową (zjawisko tak zwanego hip-hopolo), pokazywała raczej muzyczny konformizm i brak poczucia obciachu, a w tekstach – sztampowość i niezamierzona groteska, rap coraz powszechniej zaczął być postrzegany w kategoriach buntu i radykalnej krytyki zastanej rzeczywistości. Z tego właśnie powodu pojawiały się porównania rapu z polskim punkiem z lat 80.

Raper i ONR

Rap miał zadawać kłam często powtarzanej opinii, że młodzi Polacy nie mają przeciw czemu się buntować, bo, inaczej niż było w PRL, żyją w wolnym kraju. Tymczasem raperzy, tak jak dawniej punkowcy, krzyczyli o braku przyszłości. Doszedł też inny temat: nierówności i klasowego antagonizmu. Można było przypuszczać, że rozwinie się na tym podglebiu odpowiednik amerykańskiego lewicowego rapu uprawianego przez anarchistycznie zorientowanych artystów, jak Immortal Technique czy Dead Prez. Jak się jednak

okazało, rebeliancki gniew polskich raperów wyraził się nie w lewicowości, ale w skrajnym nacjonalizmie pomieszanym ze swoiście rozumianym katolickim fundamentalizmem.

Wiele wskazuje, że momentem przełomowym był Marsz Niepodległości w 2012 r., w którego „komitecie poparcia” znalazło się 10 raperów, w tym już wkrótce najbardziej rozpoznawalni reprezentanci rapu patriotycznego, jak Tadeusz „Tadek” Polkowski, Karol „Pjus” Nowakowski, Kamil „Kamel” Migoń czy Łukasz „Lukasyno” Szymański. Szczególną postacią w tym gronie jest Tadek, syn Jana Polkowskiego, poety i działacza opozycji z czasów PRL, a w III RP – rzecznika rządu Jana Olszewskiego.

Tadek Polkowski jako raper zaczynał od hip-hopu „ulicznego”; jego zespół Firma założony w 2000 r. wykreował hasło „JP”, które miało być skrótem od „je...e policję”, i miał charakter wybitnie subkulturowy. Tadek wraz z kolegami (m.in. z Popkiem, późniejszym liderem osławionego Gangu Albanii) rymował o urokach „jarania blantów” (palenia marihuany), solidarności z przebywającymi w więzieniach kolegami oraz nienawiści do psów (policji) i konfidentów. Ale w 2012 r. Tadek wydał solową płytę „Niewygodna Prawda” z utworami upamiętniającymi żołnierzy wyklętych, rotmistrza Pileckiego, generała Nila, Inkę (Danutę Siedzikównę), powstańców warszawskich. Jak zauważa Piotr Majewski: „Przejsście na »pozycje patriotyczne« sprawiło, że »Tadek«, tworzący wcześniej w stylistyce »rapu



szącej spory dochód. narzędziem władzy.

ulicznego«, w której ważne miejsce zajmowały zagadnienia związane z biedą, (...) brakiem szans życiowych, dyskryminacją na rynku pracy czy szeroko pojętymi nierównościami klasowymi, zaniechał poruszania tych tematów”. Warto też przypomnieć, że płyta *Tadka* została dołączona do wydania ONR-owskiego czasopisma „Magna Polonia”.

Po 2012 r. Polkowski zaczął brać udział w oficjalnych koncertach „ku czci bohaterów”, występować w prawicowych mediach jako ekspert od kształtowania postaw patriotycznych, współpracować z IPN (w 2015 r. rzeszowski oddział Instytutu wyróżnił go nagrodą „Świadek Historii”). Nie był sam, bo wzmożenie patriotyczne objęło dużą część sceny hip-hopowej, która twórczo rozwinęła wcześniejszą fascynację wykonawców rockowych, takich jak Paweł Kukiz czy Andrzej Dziubek okupacyjną martyrologią, kultem bohaterów, heroicznym mitem powstaniowym. Tyle że jednocześnie był to swoisty powrót do ideologicznej praktyki zespołów bliskich modelowi tzw. rocka tożsamościowego czy związanego ze sceną RAC (Rock Against Communism), którego głównym reprezentantem w Polsce była założona w 1990 r. we Wrocławiu nazi-punkowa kapela Konkwista 88.

Uroki średniowiecza

Liczni raperzy bez żalu rozstali się z podwórkowym etosem hiphopowca-ulicznika. Zaczęli – jak to ujął Piotr Majewski – „uprawiać rap ze znakiem jakości »Bóg, Honor, Ojczyzna«”. W licznych opowieściach biograficznych ich drogi dzielą się na dwa etapy: młodzieńczy, „grzeszny”, i drugi związany z odkrywaniem patriotyzmu, często też nawróceniem na katolicyzm. Przejście od jednej do drugiej fazy

biograficznej bywa też nazywane przebudzeniem. Basti, jeden z czołowych reprezentantów rapu patriotycznego, w wywiadzie dla radia publicznego z 2018 r. mówił: „Obudziłem się kilka lat temu, za rządów PO-PSL – zobaczyłem, co się dzieje, jak żyjemy, jak Polska jest sprzedawana, niszczone. Zacząłem się tym coraz bardziej interesować – zarówno polityką, jak i naszą tożsamością”.

Przebudzony Basti stał się gotów, by wskazywać drogę młodszym: „Wiele pustych rymów, a gdzie przesłanie?/Tylko bloki, ławki, ziomki, dupy, cycki i ćpanie (...) Jaką będziemy mieć młodzież, taką będziemy mieć Polskę/W rapie chodzi o to, żeby dawać im coś więcej (...) /Dawaj ludziom prawdę, wartość. Oni tego łakną/Karmieni propagandą i medialną papką (...) Bądź outsiderem, jeśli głównie trąca w nurcie/Nie jesteś dziwką, niepotrzebny Ci ten burdel”.

Przedmiotem rapersko-historycznej edukacji jest jednak w pierwszym rzędzie historia, a konkretniej: „historia polskiego narodu wybranego”. Patriotyczni raperzy rymują zatem o husarii, odsieczy wiedeńskiej, przedmurzu chrześcijaństwa i o tym, że są „synami Mieszka”. Przekonują, jak raper Karat w utworze „Ciemnogród”, że „pięknym okresem było średniowiecze/ludzie dbali o rodzinę i ojczyznę/wierzyli w Boga, szanowali tradycję/nie wstydzi się wiary katolickiej/jak dzisiaj mają kraje zagraniczne”. Polska w odróżnieniu od tych krajów nie wyrzekła się wiary, więc i dziś jest przedmurzem dla Europy zalewanej falą arabskich migrantów. Dlatego – rymuje Karat – „Dziękuję ci Boże, że żyję w ciemnogródzie/za poranne zorze i za warszawskie noce/za to, że tu idę co dzień z tobą, mój narodzie/Syrenka i orzeł niszczy masońskie łożo”.

Duma z husarii może przejść płynnie w „postkolonialną melancholię”, kiedy zbiorowym bohaterem rymów stają się Orleńscy Lwowski, a tematem – utracone Kresy Wschodnie. Musi zatem pojawić się też i taki tekst skonstruowany na wzór przyrzeczenia: „Stop tym, co ukradli Lwów i Wilno/ukradli naszą ziemię, dziś dokuczają nam bezsilność (...) bądźcie tego pewni nie zapomnimy Lwowa/jesteśmy świadomi, że kresy wschodnie, że tamte ziemie były kiedyś polskie”. Do tego dochodzi często wyrażana nienawiść do Ukraińców i pretensje do polskich polityków, że wspierali „neobandrowski Majdan”.

Cała ta raperska wizja historii nabiera większego znaczenia, kiedy może być zakwalifikowana, kiedy „edukacja historyczna” wpisze się w narrację polityki historycznej, by stać się orężem dzisiejszej walki

z wrogami Narodu. Tak widzi to łódzki raper i działacz ONR Ptaku: „Kłamstwa ITI i Agory/(...) oszukiwany Naród budzi się! (...) Dzisiaj waszych rządów dobiega kres/Polacy już się budzą, a ulica płonie!/Tackich elit Naród już nie słucha/Tak – to wasza klęska, nie liczcie na układ!/Szczuki, Lisy i oszczerstwa w TVN-ie!/Homopropaganda, lewackie zawrodozenie/O waszych podłych czynach nigdy nie zapomnimy!/Przysięgamy na honor, że w walce nie spoczniemy/Póki chwały Twojej, Polsko, nie odbudujemy”.

Rap inkorporowany

Jest oczywiste, że „rap patriotyczny” okazał się – nawet niezależnie od subiektywnej woli swoich reprezentantów – sojusznikiem rządzącego dziś PiS, a w jakimś też stopniu efektem jego partyjnej propagandy. Ma rację Piotr Majewski, kiedy pisze, że prowadzona przez Kaczyńskiego „polityka pamięci” otworzyła drogę dla reanimacji nacjonalizmu, czego „patriotyczna” twórczość raperska jest przykładem. Nie należy się też dziwić, że Marian Piłka, publicysta „Naszego Dziennika”, a zarazem ważny niegdyś polityk narodowo-katolickiej prawicy, którego wcześniej być może nie podejrzewalibyśmy o słuchanie rapu, tłumaczył swoim czytelnikom: „Dziś ta muzyka (...) jest reakcją (...) na dekadencją i zdegenerowaną kulturę dominującą w mediach, na destrukcję państwa narodowego (...). Nie ulega wątpliwości, że odrodzenie patriotyzmu w młodym pokoleniu to w istotnym zakresie także zasługa patriotycznego rapu. Patriotyzm tej muzyki jest odpowiedzią na antynarodowy charakter integracji europejskiej”.

Faktycznie, trudno, by patriotyczny rap nie podobał się polskiej ultrapravicy, zwłaszcza gdy „został ochrzczony” i zrezygnował z części subkulturowego sztafetu na rzecz uniformu „obrońców Wiary i Tradycji”. Ceną za tę przemianę stało się ograniczenie roli rapera-patrioty do zadań sprzedawcy wymyślonej przez polityków propagandy. Inkorporowany przez prawicową władzę rap został nie tyle jej sojusznikiem, ile narzędziem. Raperzy-patrioci wielbiący na równi rotmistrza Piłeckiego i Janusza Walusia, a przy okazji też białych amerykańskich suprematystów, odcinający się radykalnie od afroamerykańskich korzeni gatunku muzycznego, z którego wyrosli, stanowiący „jedną rodzinę” z równie patriotycznymi kibolami przystali na status strażników systemu. Bardzo w tym przypominają dawnych bigbitowców, którzy, ku ukontentowaniu peerelowskich dygnitarzy śpiewali w Kołobrzegu o dzielnych partyzantach i bojownikach ze szlaku „od Lenino do Berlina”. ■

Kobiety objaśniają świat

Polski czytelnik najczęściej jest kobietą i sam rynek książki się sfeminizował. Mamy wysyp esejów i powieści w tym nurcie, ważne wznowienia, ale i pierwsze przekłady głośnych na świecie dzieł.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Uzupełnione wydanie „Świata bez kobiet” kulturoznawczyni i publicystki Agnieszki Graff ukazało się ponownie równo 20 lat po premierze. Autorka w świeżo dopisanym wstępie asekuje się nieco, podkreślając, że książka jest dzieckiem swojej epoki, bo gdyby

chcieć ją poprawiać i aktualizować rozdział po rozdziale, powstałaby zupełnie inna rzecz.

Oczywiście ma rację, choć jej aktualność dziś też poraża. Ledwie minęła dziesiąta rocznica sformułowania słynnej konwencji antyprzemocowej – Polska chce się z niej wypisać, a i Turcja, gdzie wszystko się zaczęło, też robi w tył zwrot. Prawo aborcyjne mamy jedno z najsurowszych na kontynencie. Nie

ma mitycznych równych płac, parytety przyjęły się średnio, wcale lub umownie, a program 500+ raczej zniechęcił kobiety do pracy, niż zachęcił do rodzenia dzieci, czyli przyniósł skutki odwrotne do założeń. Wreszcie o Strajku Kobiet i fali nie tak dawnych protestów przypominają widoczne gdziegdzie czerwone błyskawice.

Pewnie do estetyki tych demonstracji nawiązują kartony na okładce odświeżonej książki Graff (pierwsze wydanie z 2001 r.: Krytyka Polityczna, teraz rzecz ukazała się nakładem wydawnictwa Marginesy). Jedno ze strajkowych haseł można by zresztą sparafrazować i odnieść do niej i do innych wydanych w Polsce książek w ostatnim czasie: nie do wiary, że ciągle walczymy o to samo.

Przemilczane tematy

„Podobno uczestniczki aktywistycznych forów internetowych polecają sobie moją książkę jako lekturę, od której warto rozpocząć przygodę z feminizmem” – pisze Graff. I rzeczywiście jest to wartko poprowadzony wykład o seksizmie, mizoginii, patriarchacie, feminizmie i jego wypaczeniach, gumkowaniu kobiet z przestrzeni publicznej i kart także najnowszej historii, a wszystko to okraszane przykładami, które z perspektywy 2021 r. trąca, by tak rzec, „dziaderstwem”, tak jak trąci myszką kultowa (i świetnie przez Graff zanalizowana) ekranowa „Seksmisja”. To dziaderskie w tym sensie, że chciałyby się zamknąć wszystkie te zjawiska w publikacji z 2000 r. i bezpowrotnie umieścić w przeszłości.

Ale choć zmieniała się władza, to pewne postawy wykorzeniać trudno. Idealizacja macierzyństwa? Nie znikła. Narzucały przez rozmaite nacjonalizmy sztywny podział na męskie i kobiece wzorce i standardy? Obowiązuje. Kościół mieszający się w sprawy obyczajowe i polityczne? A jakże. Pochwała tradycyjnych wartości? Słychać ją co rusz. Narracja o zabijanych dzieciach nienarodzonych? Widoczna nawet na billboardach i trudna do przeoczenia. Najpewniej większość aktorów życia publicznego wymienianych przez Graff, jak stała, tak



stoi po tej samej stronie sporu. Choć parę wątków tabu udało się przełamać. Sama autorka przyznaje, że 20 lat temu przemilczała temat przemocy domowej i niewiele miejsca poświęciła wątkom LGBT. Co jest tym wymowniejsze, że właśnie dokonała publicznego coming outu.

Być może jednak nie kontekst ma dziś pierwszorzędne znaczenie, lecz umieszczony w nim nowy odbiorca? Graff dwie dekady temu dziwiła się, dlaczego pomysł konstytucyjnego zakazu aborcji (wyszedł swego czasu ze środowiska Ligi Polskich Rodzin) nie wyprowadza Polaków na ulice. Teraz to rzecz jasna nie do pomyślenia. A kwestii praw reprodukcyjnych, równości, statusu mniejszości seksualnych nie nazywa się już rytualnie, jak jeszcze niedawno, tematami zastępczymi, co mierziło każdego, kto stawał w tych sprawach w pierwszej linii frontu.

Niewielka w sumie książka Graff, biblia polskiego feminizmu, faktycznie wpada w ręce w okolicach dwudziestego roku życia – sama czytałam ją przed laty cichcem na mniej absorbujących wykładach. Może, tak to nazwijmy, inicjacja feministyczna zaczyna się nieco wcześniej, skoro pokolenie, które wyrosło

od daty pierwszego wydania książki do wznowienia, jest już inne, bardziej otwarte na świat i z nim połączone. I cokolwiek by o nim mówić – na pewno nie ma zgody, by był to świat bez kobiet.

Uniwersalnie, czyli dla mężczyzn

Podobną rolę przewodniczki po feminizmie odegrała (odgrywa) na świecie Amerykanka Rebecca Solnit, aktywistka, historyczka, autorka otoczona wiankiem – jak to się czasem złośliwie powiada – wyznawczyń, z którą – jak się złośliwie dodaje – nie sposób się nie zgodzić. Jej pisarstwo to misja i choć dziś żadnej jej premierowej książki się nie przemilcza, to wydała koło dwudziestu prac feministycznych (i nie tylko), zanim została usłyszana.

Paradoksalnie dopiero książką z mężczyznami w tytule przebiła się do szerszej świadomości, wychodząc poza swój stały krąg odbiorców. „Mężczyźni objaśniają mi świat” (2014 r., w Polsce 2017 r., wyd. Karakter) to fenomenalna opowieść o... świecie bez kobiet. O uciszaniu, wypowiadaniu się „w imieniu” i „zamiast”, powszechnej głuchocie i ślepotcie.

Milczenie kobiet jest jak wdrukowany nawyk, co oznacza, że winą za ten stan rzeczy należałoby się podzielić. Groza polega zaś na tym, że czasem to milczenie wpędza tylko w dyskomfort, ale bywa, że prowadzi do tragedii, jak gwałt czy morderstwo. Solnit umiejętnie buduje swoje historie od anegdot po dramatyczny czy spektakularny finał, to samo odnosi się zresztą do jej książek o wędrówce („Zew włóczęgi”) czy aktywizmie („Nadzieja w mroku”). Pierwszy krok zawsze jest nieśmiały. Kluczem jest świadomość, która pomaga zauważać drobne subtelności. Na przykład moment, w którym ktoś – domyślnie mężczyzna – wchodzi nam w słowo. Triumf przełamania milczenia kobiet Solnit ogłasza w „Matce wszystkich pytań” (2021 r., Karakter), choć jak wiadomo, nie jest to sprawa wygrana raz na zawsze i nie wszędzie proces odzyskiwania głosu przebiega w równym tempie. Rzecz jednak w tym, powiada Solnit, że to droga jednokierunkowa.

Aczkolwiek wyboista. I to w sensie zarówno materialnym, jak i mentalnym, jedno i drugie jest ze sobą zresztą sprzężone. O obiektywnych przeszkodach pisze choćby pochodząca z Brazylii dziennikarka Caroline Criado Perez ▶

WARTO WIEDZIEĆ & WARTO POZNAĆ

PROMOCJA

Wydawnictwo PAPIER  WYKSIEŻYC

Rewelacyjny thriller psychologiczny, którego nie zapomnisz!



*Ta powieść nie pozostawia obojętnym.
Najmocniejsza literacka przygoda ostatnich lat!*

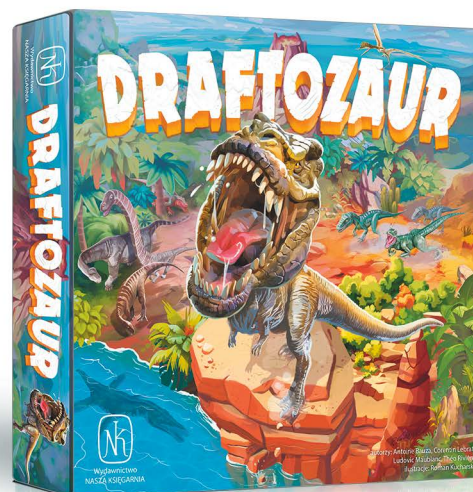
Leszek Koźmiński, *Kryminalna Piła*

Szukaj w księgarniach

www.papierowyksiezyc.pl www.ksiazkoteka.pl



ŚWIATOWY HIT!



**JEDNA Z NAJLEPSZYCH
GIER O DINOZAUROCH.**

► (Karakter). „Niewidzialne kobiety. Jak dane tworzą świat skrojony pod mężczyzn” to spis konkretnych przykładów, gdy „uniwersalne” znaczy „dla mężczyzn” – w pracy, u lekarza, w przestrzeni miejskiej, na roli, generalnie w życiu codziennym: prywatnym i publicznym. To też kapitalna lukcja z czytania statystyk i danych i szukania w nich luk. Fakt, że mamy jeden lek na słabe skurcze macicy i koło 50 na niewydolność serca, nie oznacza, że skurcze te występują rzadko lub że są niegroźne.

Matka, żona, zdzira

Niedawno ukazała się w Polsce ciekawa rzecz: „Dziwki, zdziury, szmaty. Opowieści o slut-shamingu” (wyd. Czarna Owca). Ciekawa też z perspektywy czasu – niektórzy czytelnicy, a z pewnością niektóre aktywistki pamiętają spór o „Marsz Szmat” zorganizowany w Warszawie w 2013 r. w sprzeciwie wobec przemocy seksualnej. Od meritum odciągała sama nazwa przedsięwzięcia, podobnie jak ubiegłej jesieni bardziej rozpałały wulgaryzmy niż kwestia delegalizowanej aborcji. Książka ze szmatami w tytule mogłaby wyrezonować podobnie, ale to w zasadzie cytaty. I zarazem postulat: już dosyć tej hipokryzji.

Paulina Klepacz, Aleksandra Nowak i Kamila Raczyńska-Chamyn, autorki książki, czerpią z własnych doświadczeń, obserwacji prywatnych i zawodowych (Klepacz i Nowak są dziennikarkami, Raczyńska-Chamyn jest m.in. edukatorką seksualną po pedagogice resocjalizacyjnej) oraz – co można stwierdzić bez żadnej przesady – z doświadczeń większości kobiet. Zresztą bezpośrednim impulsem do pisania książki był wyciek danych z polskich kobiecych grup społecznościowych w 2018 r. i utworzony na tej podstawie „spis zdzir” (SlutWatch). Chodziło o publiczne upokorzenie tych, które ośmieliły się otwarcie rozmawiać o seksie, swoich fantazjach i potrzebach. Za „karę”.

Jeśli któraś użytkowniczka mediów społecznościowych nie otrzymała nigdy anonimowego zdjęcia penisa, to może się czuć szczęściarą. Oto jedna z form slut-shamingu. To nowe określenie starego problemu, oznaczające zawstydzanie ze względu na seksualność. Nosi krótkie spódniczki? Czyli dziwka. Lubi seks? Czyli puszczalska. Do repertuaru mitów należy też przypisywanie zgwałconym kobietom winy (prowokowała ubiorem, spacerowała za późno i po niewłaściwych okolicach itd.) albo sugerowanie, że ktoś dostał posadę czy „awans przez łóżko”. Formy tej przemocy są jak widać rozmaite, a często nietraktowane nawet

jak przemoc. Klepacz, Nowak i Raczyńska-Chamyn rozbrajają mity, ale i postulują, by afirmować swoją seksualność w dowolny sposób, dowodząc, że „nas, »zdzir«, jest więcej, niż w naszym deklaratywnie pruderyjnym społeczeństwie może się wydawać. Jesteśmy matkami, żonami, kochankami, przyjaciółkami, wiedźmami i puszczalskimi, a czasem zmysłowymi, delikatnymi, zakochanymi romantyczkami”.

Książkę o slut-shamingu należałoby ustawić na półce z innymi, które porządkują współczesny świat, jak choćby „Gwałt polski” Mai Staśko i Patrycji Wieczorkiewicz (Krytyka Polityczna) czy „Śladów pobicia brak” Rachel Louise Snyder o przemocy wobec rdzennych mieszkank USA (Czarne). Jest wreszcie dystopijna wizja świata, w którym o kobietach nie myśli się przez pryzmat seksualności, czyli „Krótka historia Ruchu” Czeszki Petry Hülowej (Afera),

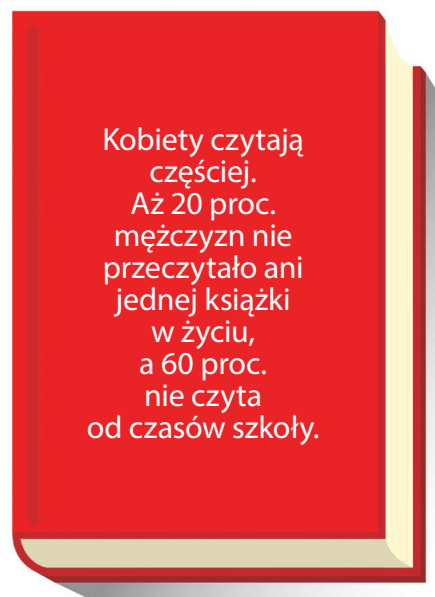
często odważne i eksperymentalne tytuły z zagranicy. Wśród nich wydawnictwa takie jak Pauza, Filtry, Tajfuny czy – nomen omen – Dziwny Pomysł.

W tym roku Biblioteka Narodowa nieśmiało odtrąbiła sukces – w czasie pandemicznego przestoju kulturalnego jedną książkę przeczytało 42 proc. Polaków. Siedem i więcej – 10 proc. I choć nie są to spektakularne wyniki, wahnienia w jedną albo drugą stronę mieszczą się w granicach błędu statystycznego, a badanie ma charakter deklaracyjny, to jedno w zasadzie się nie zmienia: „Literatura jest domeną kobiet”. To cytaty z raportu Biblioteki Narodowej podsumowującego stan czytelnictwa w 2020 r. Kobiety czytają częściej, sprawia im to więcej przyjemności, są też lepiej wykształcone. Za to aż 20 proc. mężczyzn przyznaje, że nie przeczytało ani jednej książki w życiu (!), a 60 proc. – że nie czyta od czasów szkoły.

Ciekawe zarazem, że rynek książki w ogólności jest wciąż zdominowany przez mężczyzn. Z zestawień amerykańskiej organizacji Vida (Women in Literary Arts) taki obraz wyłania się regularnie: książki pisarzy są częściej omawiane w prasie, rzadziej przeoczone, zwykle recenzowane, więcej się ich też wydaje, o przypadkach przyjmowania przez kobiety męskich pseudonimów nie wspominając. Prestiżowe pismo „The New York Review of Books”, w którym dysproporcja była zawsze miazdząca (ok. 23 proc. autorek kobiet wobec 77 proc. autorów), w 2016 r. wywalczyło parytet. Ale 47 proc. łamów kobiety utrzymały krótko i przepaść wróciła do niestawnej normy. Świat bez kobiet z pewnością nie byłby więc światem bez książek. Tylko kto by je czytał?

Dzielenie autorów ze względu na płeć może się wydawać dziaderskie, a wyodrębnianie literatury męskiej, kobiecej czy feministycznej zawsze nieco obrusza, jeśli trzymać się generalnej zasady, że literatura jest po prostu dobra albo zła. Tyle że bardziej niż o etykiety chodzi o reprezentację i słyszalny głos. Jak pisze Graff: „Im bardziej kwestia nierówności płci jest w społeczeństwie bolesna, im trudniej ją akceptować, tym bardziej karykaturalny staje się obraz feministki. Jeśli w języku publicznym pojawiają się takie postacie, jak »owłosione babochłopy« i »kastrowane potwory«, a słowo »feministka« nieodłącznie towarzyszy epitet »wojująca«, to jest to znak, że »oczywistość« i »naturalność« obecnego układu zaczyna się znowu chwiać”. W Polsce właśnie znów się chwieje. Czyli to dobry znak.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



odwrotność „Opowieści podręcznej” Margaret Atwood. Z drugiej strony mamy co najmniej kilka książek o prawie do rozkoszy i orgazmu. Fakt, że ukazują się w Polsce, jest spełnieniem postulatów Rebeki Solnit – powoli kruszeje tabu.

Feministki i inne potwory

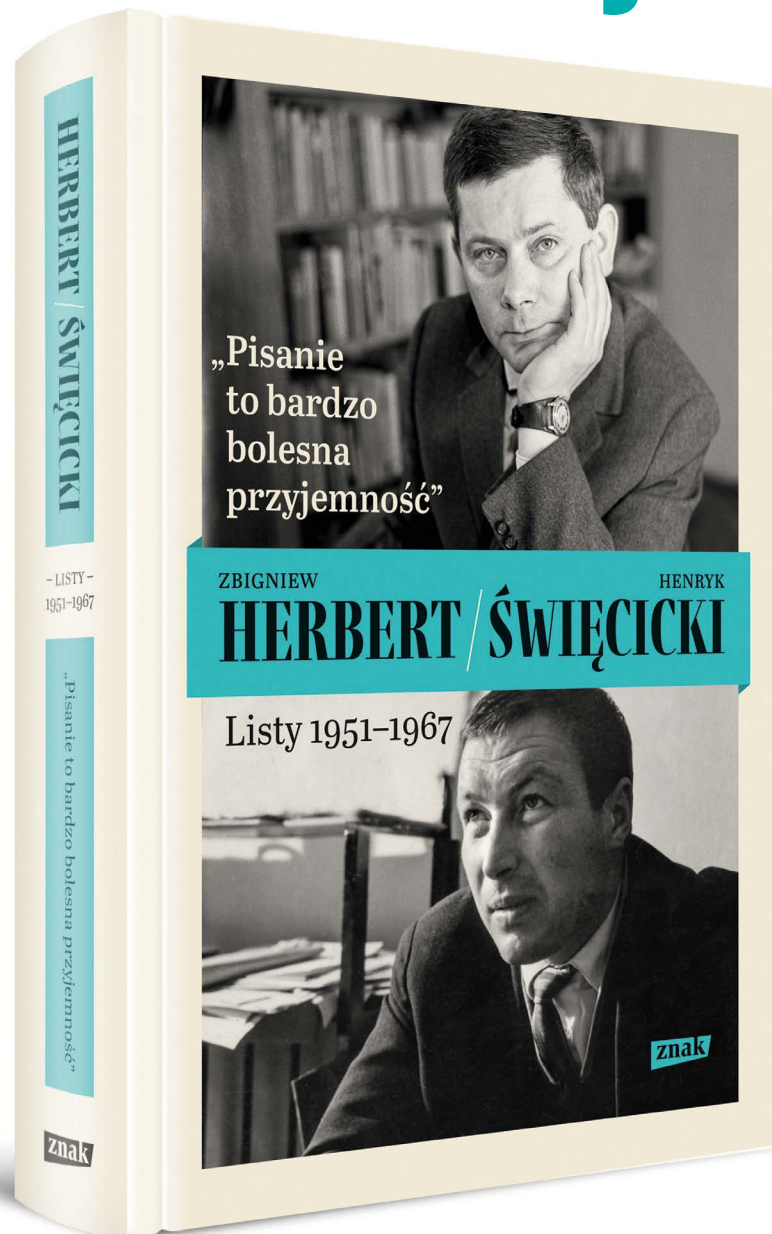
Bez wątpienia przeżywamy – w swoim tempie – rewolucję mentalnościową i swoje zasługi mają w tym m.in. radykalne rządy prawicy, a wcześniej choćby kolejne fale #MeToo. Rynek książki bywa też po prostu pragmatyczny. Zarazem nie da się zlekceważyć skromniejszych inicjatyw wydawniczych. Mali wydawcy to w Polsce często kobiety, solo czy w małym gronie wydające wartościowe,

Niepublikowana korespondencja

15 lat przyjaźni artystów

Świadectwo niezwykłej relacji mistrz i uczeń
Rękopisy listów szkice Zbigniewa Herberta oraz reprodukcje obrazów Henryka Świącickiego

znak



HENRYK ŚWIĘCICKI

- Prawnik, malarz, poeta.
- Redaktor, społecznik, dyplomata.
- Twórca jednego z pierwszych w PRL kolorowych magazynów. „Panorama Północy” była kulturalnym powiewem świeżości.



Premiera 19 maja Książka dostępna w księgarniach stacjonarnych i sklepach internetowych

Kuloodporny

Od zawsze mam metal w płucach i w sercu – mówi Rob Halford, wokalista heavymetalowej grupy Judas Priest.

MARCIN PIĄTEK: – **Tytuł pańskiej autobiografii „Wyznanie” brzmi jak dalszy ciąg coming outu, którego dokonał pan ponad 20 lat temu.**

ROB HALFORD: – Wciąż świetnie ten moment pamiętam, bo okoliczności były niezwykle. Byłem umówiony na wywiad w MTV, ale nie zamierzałem ujawnić swojego homoseksualizmu. Po czym nagle po prostu wyznałem to przed kamerą. Gdy dziś o tym myślę, wydaje mi się, że doszło do tego za sprawą podświadomości. I świetnie wyszło, bo odebrano to jako świadectwo odwagi oraz prawdy. Wcześniej pokonałem uzależnienie od kokainy i alkoholu, zwycięstwem nad nałogami zawdzięczam poczucie wewnętrznej siły, ale dopiero ten coming out dał mi prawdziwą kuloodporność.

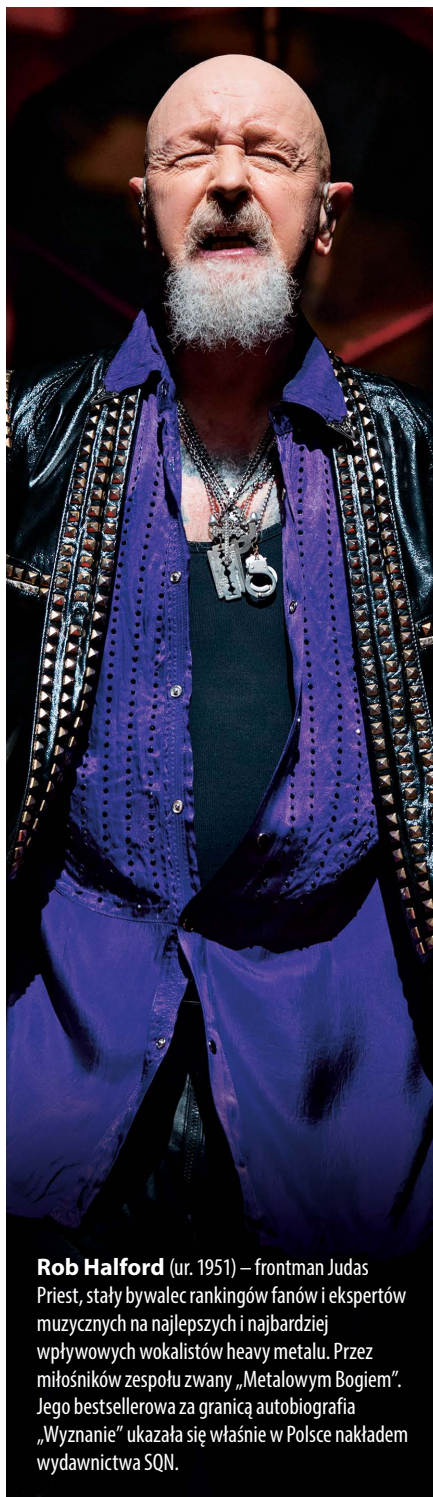
Jakie to uczucie: żyć w ukryciu niemal pół wieku?

To był trudny czas. Szczególnie młodość. Już w szkole podstawowej zdałem sobie sprawę, że pociągają mnie mężczyźni. Wówczas wydawało mi się, że jestem nienormalny, że coś jest ze mną nie tak. Naturalną reakcją było poszukiwanie odpowiedzi na dręczące mnie wątpliwości i pytania. Dowiadywałem się, że żyję w rzeczywistości, w której homoseksualiści trafiają do zakładów zamkniętych, czasem na lata, właściwie za to, kim są. To był dla mnie czas przyspieszonej dorosłości, której wcale nie chciałem, bo wciąż byłem dziecakiem, więc powinienem używać życia, cieszyć się beztroską. Często brały we mnie górę złe emocje: konfuzja, strach, odrzucenie.

Próbował pan wyzwolić się dość wcześnie, za pomocą twórczości.

Piosenka „Raw Deal” z trzeciej płyty Judas Priest, „Sin After Sin”, to właściwie homoseksualny manifest.

Pamiętam, że gdzieś przeczytałem o nowojorskiej Fire Island mającej renomę homoseksualnej enklawy. No i słowa właściwie napisały się same. Pokazałem tekst chłopakom z zespołu, przeczytali i powiedzieli, że im się podoba, ale za nic nie wyglądało, jakby odczytali go jako mój coming out. Utwór trafił na płytę, ale nie był specjalnie eksponowany ani promowany, więc moje wyznanie przeszło kompletnie niezauważone.



Rob Halford (ur. 1951) – frontman Judas Priest, stały bywalec rankingów fanów i ekspertów muzycznych na najlepszych i najbardziej wpływowych wokalistów heavy metalu. Przez miłośników zespołu zwany „Metalowym Bogiem”. Jego bestsellerowa za granicą autobiografia „Wyznanie” ukazała się właśnie w Polsce nakładem wydawnictwa SQN.

© RICK KERN/WIREIMAGE/GETTY IMAGES

Odwaga się nie opłacała.

Wydawało mi się, że za pomocą mojej twórczości już mocniej nie mogę tego powiedzieć. Tymczasem nikt nigdy nie zapytał mnie, co za ich pomocą chciałem wyrazić. To był zupełnie inny świat niż dziś, homoseksualizm wciąż stanowił temat tabu. A środowisko metalowców było przesycone kulturą macho, więc wydawało się, że gdzie jak gdzie, ale tutaj lepiej się ze swoją odmienną orientacją nie wychylać. To po prostu mogło okazać się niebezpieczne.

I nieopłacalne. Przedstawiciele wytwórni wydającej albumy Judas Priest mówili panu wprost: lepiej uważać, bo fani metalu mają opinie nietolerancyjnych. Mogą się odwrócić.

Mieli takie obawy. A ja też uważałem, że w imię swojej prywatnej walki nie mam prawa narażać na szwank wszystkiego, co do tej pory osiągnęliśmy jako zespół. Z wielu względów wydawało się, że bezpieczniej jest trzymać ten temat z dala od muzyki, przynajmniej póki funkcjonujemy razem, jako Judas Priest [Halford dokonał coming outu podczas dziesięcioletniego rozbratu z zespołem, gdy próbował sił w alternatywnych projektach, zresztą z dość marnym skutkiem].

To musiało być schizofreniczne: rodzina akceptuje, koledzy z zespołu nie mają żadnego problemu z pańską orientacją, a trzeba żyć w ukryciu.

Dlatego zrobiłem to, co często robią ludzie znajdujący się w takich trudnych życiowych sytuacjach. Zaczęłem pić. Z czasem dawki się zwiększały, musiałem w trakcie koncertów zniknąć na zaplecze sceny, aby wychylić szybko pół szampana albo kolejne puszki piwa. To była ślepa uliczka, co przechodziło niezauważone, bo wydawało się, że nałogi to po prostu część rockandrollowego stylu życia. Frustrowało mnie, że nie mam z kim pogadać, a jeśli już dochodzi do osobistej rozmowy, to nie przynosi ona pocieszenia. Do alkoholu dołączyła kokaina, ale to nie była odtrutka na moją depresję. No i sięgnąłem dna [wokalista próbował popełnić samobójstwo, przedawkowując leki, ale uratował go jego ówczesny partner].

Pańskie frustracje spowodowane były po części homofobiczną linią rządu Margaret Thatcher, który zasłynął m.in. przepisami zabraniającymi lokalnym władzom promocji homoseksualizmu, co oznaczało de facto zaprzestanie działalności przez wiele organizacji walczących o równość wobec prawa dla społeczności LGBT. Ale w tekstach oszczędza pan rządzących. Podobnie jak krytyków muzycznych, którzy

zwłaszcza w początkach kariery Judas Priest nie byli dla was łaskawi.

No tak, jeśli jako początkujący zespół dostajesz za koncert pięć funtów do podziąka i masz dylemat, czy kupić za to jedzenie, czy paliwo do vana, co pozwoli dojechać na kolejny koncert – w związku z tym jedzenie najczęściej musiało poczekać – nie chcesz raczej po wydaniu płyty przeczytać w gazecie recenzji, której sedno brzmi: cokolwiek robicie zawodowo poza muzyką, nie rezygnujcie z tego (*śmiech*). Z perspektywy czasu wiem, że tak to już jest, że ludzie uważający się za kreatywnych – więc również dziennikarze – są krytyczni. To po prostu leży w ich naturze. A z recenzjami trzeba nauczyć się żyć. Jeśli są pozytywne, po prostu się nimi cieszysz. Ale jeśli wydzwięk jest negatywny, powinieneś umieć odnaleźć w niej korzyści. Wyzwolić determinację, która jest kluczowa dla każdego artysty.

Pionierzy gatunku – a Judas Priest byli w końcu jednymi z ojców założycieli fali znanej dziś jako New Wave of British Heavy Metal – są skazani na niezrozumienie?

Myślę, że to jest po prostu los artystów. Również dojrzałych. Często jest reakcją obronną związaną z tym, że wybory, jakich dokonujesz zarówno w swojej twórczości, jak i jako osoba publiczna, są niezrozumiałe albo niewłaściwie odczytane.

Czy to, że pochodzicie z Midlands, robotniczego zagłębia środkowej Anglii, miało znaczenie w ocenach waszej twórczości? Z perspektywy Londynu byliście prowincjuszami?

Nie urodziliśmy się w bogatych rodzinach, wszyscy wywodziliśmy się z ciężko pracującej klasy robotniczej, która żyła

od wypłaty do wypłaty, praktycznie bez oszczędności. Pamiętam to z czasów swojego dzieciństwa i wiem, że teraz jest podobnie, choć już nie z powodu typowo robotniczej struktury tamtejszej gospodarki, ale nierówności powodowanych przez współczesny kapitalizm. Wydaje mi się, że we wzajemnych relacjach z ludźmi mieszkającymi w metropoliach nieporozumienia brały się przede wszystkim z zupełnie odmiennych perspektyw: sytych i głodnych. Ale nam, głodnym, chęć zmiany swojego życia, awansu społecznego dawała wielką energię.

Midlands to ojczyzna nie tylko Judas Priest, ale również Black Sabbath i połowy składu Led Zepppelin. Mówi się, że dla ich twórczości nie bez znaczenia był fakt, że metal unosił się tam w powietrzu. Dosłownie.

Lubię tę paralelę. Faktycznie, droga do szkoły liczyła jakieś pięć kilometrów w jedną stronę, a w powietrzu wisiały zanieczyszczenia z fabryki i hut. Właściwie od zawsze mam więc metal w płucach i w sercu (*śmiech*).

Dlaczego w ogóle zdecydował się pan jako wokalista realizować akurat w heavy metalu? Jako posiadacz czterooktawowej skali mógłby pan próbować sił choćby w operze.

Wydaje mi się, że z punktu widzenia wokalisty muzyka heavymetalowa oferuje najwięcej różnorodnych środków wyrazu. Poddajesz swój głos ekstremalnym próbom wytrzymałościowym, co generuje wielkie emocje. To sprawia, że jako śpiewak czuję się spełniony. Heavy metal, jako młody gatunek, dawał też wielką przestrzeń do eksperymentów. Do badania reakcji odbiorców. A wszystkich nas w Judas Priest łączył

zapał do budowania czegoś od podstaw, przecierania szlaków. Nie tylko jeśli chodzi o muzykę, ale również wizualną część przedstawienia, jakim jest koncert. Mnie zawsze pociągała ekstrawagancja. Oczywiście to muzyka jest fundamentem, ale towarzyszące jej ozdobniki działają na emocje. Dla mnie zawsze liczyło się, by jako artysta stworzyć show, dzięki grze światła, kostiumom, no i harleyowi, którym wjeżdżałem na scenę.

Mówi się, że przełomem estetycznym dla Judas Priest była słynna okładka albumu „British Steel”, z dłonią trzymającą żyletkę. Zerwaliście w tej sprawie z typową dla metalu estetyką czaszek, smoków i nagich kobiet. To dzieło polskiego artysty grafika Rosława Szaybo.

Dzieło Rosława to świadectwo czystego talentu. Było intrygujące. Dzięki niemu wielu ludzi spojrzęło na naszą muzykę w inny sposób.

Czy status gwiazd Judas Priest zawdzięcza Stanom Zjednoczonym? Czytając pańskie wspomnienia, można odnieść wrażenie, że o sukces było tam łatwiej niż w ojczyźnie.

Nie powiedziałbym, że tam było łatwiej. Razem z naszymi przyjaciółmi z Black Sabbath przecieraliśmy dla heavy metalu szlak w Ameryce. Czuliśmy się jak wędrowni grajkowie. Dosłownie. Z miasta do miasta, ze stanu do stanu. Ale potrafiliśmy wzbudzić ciekawość nie tylko dzięki muzyce i scenicznemu wizerunkowi. Byliśmy niezwykle zdeterminowani, żeby wszędzie odcisnąć nasz ślad, wszędzie, gdzie tylko się da. To była ciężka harówka, bo Stany są ogromne. Ale położyliśmy fundamenty, zyskaliśmy fanów. To wciąż procentuje. ■

REKLAMA

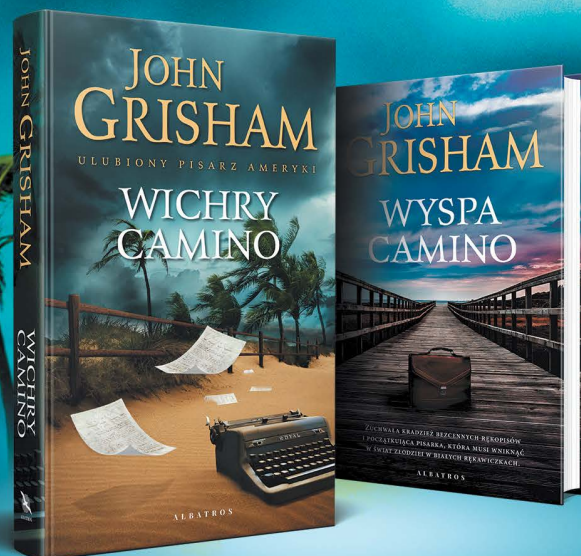
NOWA POWIEŚĆ JOHNA GRISHAMA WICHRY CAMINO

ULUBIONY PISARZ AMERYKI
POWRACA W NOWYM, TYM RAZEM NIECO
LŹEJSZYM, WAKACYJNYM WYDANIU...

W KSIĘGARNIACH OD 19 MAJA 2021!

WYDAWNICTWO ALBATROS

empik salony / online / aplikacja





Sprzątam, więc jestem

Pandemia pokazała, kim tak naprawdę jest główny bohater ludzkiej opowieści. To dom, najbliższe otoczenie człowieka i tych, z którymi je dzieli. Do tego grona zaliczają się członkowie rodziny, współlokatorzy, sąsiedzi, zwierzęta, a także – co wyszło dopiero teraz – szerzej pojęta przyroda.

Jak trwoga, to do Boga, głosi polskie przysłowie. W tym przypadku do Matki Natury. Lgniemy do roślin, kwiatów, drzew, chcemy je mieć w domu, na podwórku. Powstała aplikacja, która robi to, czym nie zawraca sobie głowy szkoła – uczy nazywać rośliny z naszego otoczenia. A my, w miastach, czy nie dostaliśmy szmergla na punkcie balkonów? Konkurs na najpiękniej ukwiecony balkon trwa.

W powodzi pandemicznej dom stał się Arką Noego. Zapakowani na nią ludzie wraz ze swoimi zwierzęcymi i roślinnymi pobratymcami kołyszają się na falach doniesień o ilości zakażeń, wydolności bądź niewydolności rządów do zapewnienia obywatelkom i obywatelom opieki medycznej i szczepień. Bujają się na niespokojnych wodach i przepatrują horyzont w poszukiwaniu bezpiecznego łądu, wpadając w wiry wątpliwości („pani wierzy w tą pandemię?”) i teorii spiskowych („wszyscy mamy czipy”). Nikt nie może z arki-domu wyjść – praca w domu, szkoła online, gotowanie, sprzątanie, zmywanie, odkurzanie – wszystko odbywa się w domowych pieleszach.

W takich warunkach nieuchronne są weryfikacje. Nagle się okazuje, kto jakiego sobie wziął Noego. Znamy wiele feministek, które w teorii wiedzą wszystko o równych prawach, nawet o tym piszą, ale w domu wykonują lwią część pracy, która z równością nie ma nic wspólnego. Pranie, rozwieszanie, składanie wysuszonego, rozkładanie rzeczy w szafach, zakupy, rozparcelowywanie dóbr w lodówce i szafkach, siekanie, gotowanie, podawanie, zmywanie – kto to wszystko w domu robi? Oczywiście można się zaorać, odhaczać punkty z listy obowiązków, oprócz tego pracować zdalnie, nauczać własne dzieci (!), a nocami oddawać się, niczym wypoczęta hurysa. Albo można zrobić spis upierdliwych czynności, podać w przybliżeniu czas, jaki pożerają, i podzielić się domową aktywnością z partnerem czy partnerką. Chodzi o to, żeby Arka płynęła, a nie z hukiem implodowała.

„Home, sweet home”... Jak wygląda domowa rzeczywistość wiosną 2021 r.? Niedawno ukazały się badania na temat sytuacji warszawianek w czasie pandemii. Problemy, z którymi borykają się mieszkanki stolicy są podobne do tych, jakie gniebią kobiety w Szczecinie, Toruniu czy Wałbrzychu. Na szczycie listy znajdują się konflikty domowe, łącznie ze stosowaniem przemocy, i przeciążenie wynikające z pracy opiekuńczej, w tym związanej ze zdalną nauką dzieci (bywa, że ponad cztery godziny dziennie). Co trzecia ankietowana przyznała, że w czasie pandemii ma więcej obowiązków domowych niż dawniej. Nic dziwnego: siedzimy w czterech ścianach, to i więcej bałaganimy. Widzimy też niedoróbki i rzeczy do odświeżenia bądź wymiany. Niekończące się krzątactwo,

o którym pisała filozofka Jolanta Brach-Czaina, powołuje z nicości „delikatną, męczliwą tkankę codziennego istnienia, z konieczności opartą na wątej podstawie i skazaną na bytowanie przelotne”. A zatem to nie tylko wycieranie kurzu i sprzątanie kłaków zwierząt (ile można gubić sierści?!), ale egzystencjalny taniec mający na celu podtrzymanie istnienia, tworzony „z drobnych czynności”, bo bez nich życie „rzednie, słabnie i jakoś wycieka”.

Latamy w kółko i ogarniamy. I tak robią to zwykle kobiety. Dlaczego one? Spytaj mamy, babci, siostry. A zwłaszcza żony. Tak działa socjalizacja (o, przepraszamy: tradycja i naturalny porządek). Zmienia się świat, zmieniają same kobiety, ale nadal u cioci na imieninach to kobiety obsługują gości: gotują, układają potrawy na stole, sprzątają i dojadają resztki, bo przecież nie ma kiedy usiąść. To także one, urobione po łokcie kariatydy domowe, ciosają innym kobietom kolki na głowie, „zawstydzając” te, które usiłują zaprząć do pomocy mężczyzn.

Kobiety wykonują też pracę emocjonalną, dbając, aby było miło i przyjemnie. Odciągają zawianego wuja od eskalującego konfliktu ze szwagrem, hamują zięcia, żeby nie wyrwał się z rękoczynem wobec marudnego sąsiada. W ankiecie przeprowadzonej przez warszawski ratusz aż 52 proc. respondentek przyznało, że w czasie pandemii uczestniczyło w konfliktach rodzinnych, głównie dotyczących miejsca do pracy i podziału obowiązków domowych. No pewnie, niektórzy nie wynoszą z domu wiedzy o tym, że pranie samo się nie robi, a papier toaletowy nie wyrasta samoistnie w łazience.

Przemęczenie związane z pracą opiekuńczą i domową prowadzi do frustracji i chorób. Sylwia w swojej fundacji Mama słuchała licznych opowieści młodych matek, które obarczone „siedzeniem w domu” z dziećmi czuły się wyczerpane i niedosypiały latami. Kiedy próbowały porozmawiać o tym z partnerami lub rodziną, zwykle słyszały, że wychowywanie dzieci to nie praca. Czy chodzenie na plac zabaw może męczyć? To kompletne niezrozumienie istoty pracy, która ma na celu wychowanie członków społeczeństwa, a często i zadbanie o osoby z niepełnosprawnością, starsze. Gotując, wycierając nosisy i podając leki, kobiety podtrzymują ten świat. Wojna, pandemia czy kryzys ekonomiczny – na stole stoi talerz z zupą, a na łóżku leży świeża pościel.

Ten wysiłek dużo je kosztuje. 44 proc. warszawianek potwierdziło w badaniach, że w czasie pandemii doświadczyło pogorszenia stanu zdrowia psychicznego. Nie wszystkie osoby skorzystały z profesjonalnej pomocy. W jakim stanie wejdą w czas wychodzenia z obostrzeń? A my wszyscy, w jakim stylu „wrócimy do normalności” – kultuwując uparcie „tradycje” polegające na wykorzystywaniu jednych do obsługiwania drugich, trenując kolejne pokolenia kobiet, by kicały z talerzami wokół partnerów? Czy coś się jednak zmieni?

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK



Gra w Chińczyka

Prawdziwy zalew tematów: Iga świątek! (Brawo! Wspaniały sukces!), Banaś kontra Morawiecki, posłowie Zalewski i Raś wydaleni z Budki. Dlatego ja „podjąłem decyzję”, żeby napisać o czymś innym.

Pan prezydent ma nową zabawkę: Biuro Polityki Międzynarodowej. Przeważał bowiem pogląd, że co prawda dotychczasowa polityka zagraniczna jest pasmem sukcesów, ale jest bezdomna. Tak – bezdomna. Nie powstaje w biurze pełnym książek Kissingera i Rotfelda, tylko w miejscach do tego nieodpowiednich, takich jak niepozorny domek na Żoliborzu. Jest on tak skromny, że nie sposób w nim przyjąć żadnego gościa, z których każdy posiada co najmniej Pałac Elizejski, Pałac La Moneda albo zamek w Windsorze. „Polityka zagraniczna musi być prowadzona z rozmachem, a gdzie tu jest miejsce na rozmach?” – pytał minister Rau, jedyny, który mieści się we wnętrzu, ponieważ ma krótkie nazwisko. Waszczykowski nie mógł tam wejść, bo mu wystawały ostatnie cztery litery.

Mój nieżyjący już przyjaciel Aleksander Gudzwaty (dla znajomych Alik), który wraz z rodziną mieszkał w obszernym domu pod Warszawą (piłem tam nawet wódeczkę z abp. Głódziem, niestety tylko raz, więc znajomość się urwała), postawił sobie w pobliżu imponujący pałac w stylu renesansowym. W sali balowej bawił się akurat autokar Żydów z zagranicy, którzy przyjechali do Alika, jedli, pili, śpiewali i tańczyli. Nie bardzo rozumiałem, po co tu jeszcze ja. – Aliku – zwróciłem się do gospodarza – jesteście rówieśnikami, urodziliśmy się w tym samym roku. Po co tobie taki pałac, kiedy jesteśmy już na wylocie? W naszym wieku powinniśmy się pakować, a nie budować. – Zbudowałem ten pałac, odpowiedział, dla mojej Danusi. A jak przyjedzie jakiś oligarcha z Kazachstanu czy z innego Taszkentu, to już na podjeździe do pałacu musi go zamurować. Do wnętrza wchodzi już na miękkich nogach. I o to chodzi. To ułatwia negocjacje.

Wracamy do naszych baranów, czyli do „przysłowiowej polityki zagranicznej”. Weźmy takie Chiny, Państwo Środka. W swojej pierwszej kadencji prezydent Duda zaangażował się „na odcinku chińskim”. Zaczęto mówić o Jedwabnym Szlaku z Chin przez Polskę do Brukseli. „Już dziś Polska jest dla Chin bramą do Europy” – powiedział Duda. (Mówiłem dokładnie to samo 20 lat temu w Chile). Prezydent głośno popierał Jedwabny Szlak. Ba, wbrew sugestiom MSZ złożył nawet wizytę w Chinach.

Jak pisał Tomasz Piątek („Gazeta Wyborcza”, 17 marca 2021 r.), rodzina Dudów od dawna interesuje się Państwem Środka. Antoni Duda, stryj prezydenta, były poseł PiS, jest członkiem rady nadzorczej spółki, która pokłada nadzieje w Jedwabnym Szlaku. Stryj Antoni jest zaufanym prezesa Kaczyńskiego w Opolu. Krystyna Duda, żona Antoniego, stryjenka prezydenta, od lat promuje chińską kulturę, Instytuty Konfucjusza, które władze Chin zakładają za granicą. W 2008 r. taki instytut założony został na Politechnice Opolskiej. Oficjalnie instytuty mają służyć nauce języka i wymianie kulturalnej, jednak na Zachodzie są

zamykane jako ośrodki działalności propagandowo-wywiadowczej.

W marcu 2020 r. prezydent Duda, w telefonicznej rozmowie z prezydentem Chin, załatwił samolot pełen środków ochrony, które zresztą okazały się do luzu. Prezydent powiedział, że uzyskał zapewnienie, iż nasz kraj „będzie miał zielone światło”. Ukoronowaniem starań Andrzeja Dudy była wymiana wizyt prezydentów obu krajów.

Wkrótce jednak na Jedwabnym Szlaku pojawiły się rafy. Jak pisali J. Styczyński i P. Słowik („Dziennik Gazeta Prawna”, 2021 r.), przygotowywana w Polsce ustawa o krajowym systemie cyberbezpieczeństwa może rozsierdzić Chińczyków. „Chodzi o podział tortu przy rozwijaniu sieci 5G. Wejście w życie nowych przepisów umożliwi politykom wykluczenie chińskiego Huawei’a z polskiego rynku. Firma jest bowiem podejrzana o współpracę z chińskim rządem i może szpiegować na jego rzecz. (Jak wiadomo, nasze firmy nie współpracują z rządem, ponieważ są jego własnością). Istotne jest „pokazanie naszym amerykańskim partnerom, że w globalnym sporze prowadzonym coraz częściej w świecie nowoczesnych technologii Warszawa stoi jednoznacznie po stronie Waszyngtonu, a nie Pekinu”.

Rafy pojawiają się zarówno za granicą, jak i w Polsce. Stany Zjednoczone, nasz główny sojusznik, są największym rywalem i wrogiem Chin. Czy Polska też musi być wrogiem Chin? Wszak są one atrakcyjnym partnerem handlowym dla USA i dla nas. „Chiny i Stany Zjednoczone są skazane na skrajnie ostrą rywalizację”, powiedział prezydent Biden w ubiegłym tygodniu. Waszyngton oczekuje od sojuszników jednoznacznego poparcia. Tymczasem polski prezydent pielęgnuje stosunki z Chinami, rozmawiał ze swoim odpowiednikiem o możliwości zakupu chińskiej szczepionki. Nie może to ująć uwadze Amerykanów.

Każdy kolejny rząd amerykański zaostrza stanowisko wobec Chin, a jednocześnie Amerykanie robią mnóstwo interesów w Państwie Środka, Hollywood zbija kokosy w chińskich kinach, a Tesla weszła do fabryki pod Szanghajem – czytamy w „Dzienniku Gazecie Prawnej”.

Prezydent Duda, który ma własne uprawnienia i ambicje w polityce zagranicznej, „rozpycha się” – jak pisał Paweł Wroński w „Gazecie Wyborczej” – zaostrzając potencjalny konflikt prezydent-MSZ. Każda nominacja, każda podróż, każde krzesło (!) to potencjalne zarzewie sporu, próba pokazania, kto tu rządzi. Dlatego fundujemy prezydentowi Biuro Polityki Międzynarodowej, w skład którego wejdą szefowie państwowych instytutów zajmujących się tą problematyką, a także inni specjaliści i nawet nestorzy. Prezydent posiada jeszcze inne organy, na których może grać w „Chińczyka”: Kolegium Polityki Międzynarodowej oraz (w planach) Forum Polityki Międzynarodowej – arena do dyskusji dla szerokiego grona. Jakby tego było mało, to są jeszcze doradcy etatowi (15), z których co trzeci związany jest z Uniwersytetem Jagiellońskim, oraz doradcy społeczni. A więc MSZ, BPM, KPM, FPM i pośrednio UJ. Z taką drużyną nie wygrają nawet Chiny.

DANIEL PASSENT

Czy istnieje naród polski?



Naród ujarzmiony, który nieustanną bohaterską walką przeciwko ciemiężcom dowiódł swego historycznego prawa do niezawisłości narodowej i do samookreślenia – tak o Polakach mówił Karol Marks, gdy Roman Dmowski, z pewnością mogący się pod tymi słowami podpisać, był jeszcze małym dzieckiem. Idea narodowa bliska była nie tylko „narodowcom” i nie „narodowcy” ją wymyślili.

Tytułowe pytanie zdawać by się mogło prowokacyjne, jeśli nie wręcz obraźliwe. Wszak jest rzeczą oczywistą, że naród polski istnieje. Owszem, lecz tylko w jednym sensie tego słowa. Bo słowo „naród” ma co najmniej dwa główne znaczenia, które rozkładają się jeszcze na wiele „podznaczeń”, jako że każdy z narodów jest nim w jakiś inny, swoisty sposób. Jednakże główne znaczenia są dwa: naród etniczny i naród polityczny. Sztuka bycia narodem polega na tym, żeby być nim w obu znaczeniach, podczas gdy Polacy stanowią z pewnością dość jednolity naród etniczny, lecz nie udało im się jeszcze stworzyć wspólnoty obywatelskiej, rządzącej się samodzielnie ustanowionym i świadomie przyjętym za własne prawem, czyli narodu politycznego.

Wiele narodów, pragnąc ukonstytuować się jako naród polityczny, walczyło przez ostatnie stulecia o własne państwa, państwa narodowe. Te, którym się udało, zwykle już mocno okrzepły w swej tożsamości, a te mniej szczęśliwe, jak bliscy nam Białorusini, wciąż ją budują, starając się dokończyć przerwany proces tworzenia niepodległego i demokratycznego państwa. Jeszcze trudniej mają Kurdowie czy Palestyńczycy. W bojach o własne państwo tożsamość narodowa tworzy się bardziej energicznie niż po wielu latach suwerennego i praworządnego bytu. Anglicy nie muszą się już zajmować swoją angielskością, podczas gdy narody młodsze i niepewne wciąż się jeszcze aktywnie konstytuują. I zwykle proces ten przybiera, przynajmniej częściowo, postać szowinistyczną i agresywną w stosunku do narodów sąsiednich i narodowych mniejszości. Jeśli jednak nowy naród konsoliduje się na podłożu wielkich ideałów wolności, równości, demokracji i sprawiedliwości społecznej, pierwiastek nacjonalistyczny, związany z tożsamością etniczną oraz religijną i kulturową, ma drugorzędne znaczenie.

Polacy nie mieli takiego szczęścia. Wielki projekt budowania wolnego i demokratycznego narodu polskiego konkurował z projektem szowinistycznym i klerykałnym. I ten drugi wygrał. Oświeceniowcy planowali rozciągnąć kategorię Polaka ze szlachcica i ziemianina na lud za pośrednictwem wykształconego i politycznie świadomego mieszczaństwa, a więc w drodze demokratycznej modernizacji. Bardziej radykalni socjaliści chcieli rewolucji społecznej. Natomiast potomkowie wielkich panów i biskupi życzyli sobie, żeby naród zrodził się pod ich przewodnictwem i kuratelą – jako wspólnota wiernych katolików, którym

wszczepiono poczucie polskości, pragnienie własnego państwa, a jednocześnie lojalność względem Kościoła oraz arystokracji jako dziedziców dawnej, królewskiej polskości.

Pierwsi chcieli, żeby Polakami poczuli się najpierw robotnicy walczący o sprawiedliwą Polskę przyszłości, a drudzy – żeby poczuli się nimi chłopci, którzy w zamian za ziemię pokłonili się panom i biskupom oraz zatknęli kosy na sztorc. Wygrało stronnictwo panów i to właśnie oni urabiali w mieszkańcach krain położonych nad Wisłą, Bugiem i Prypecią poczucie polskości jako katolicyzmu. Mitologia narodowa, stworzona w okresie powstań, wraz z dobudowaną do niej propagandą polityczną II RP, była dziełem nacjonalistycznej prawy.

† Polacy stanowią dość jednolity naród etniczny, lecz nie udało im się jeszcze stworzyć wspólnoty obywatelskiej.

+

„Wolność” znaczyła w niej tyle, co „niezależność od Rosji i Niemiec”, a ideałów demokratycznych było w niej jak na lekarstwo. Za to mitomani, kultu walki zbrojnej, bigoterii, antysemityzmu i antyukrainizmu po kokardę. I tak to się mieszkańcy siół i miasteczek dowiadywali, że są oto Polakami, bo są katolikami. I że muszą być wdzięczni tym, którzy za ich wolność oraz nastanie władzy polskiej krew przelewali. Pomógł kult Piłsudskiego i radio, a przede wszystkim szkoły. Jednakże tak na dobre naród skonsolidowała wojna i okupacja. Polacy wyszli z niej jako potwornie zranione i zrujnowane, lecz świadome swej wspólnoty losu i pragnące wolności społeczeństwo.

Komuniści próbowali dołożyć do elementu etniczno-religijnego nieco pierwiastka demokratycznego, podobnie jak czynili to przed wojną postępowi politycy. „Czerwoni” nie byli w tym jednakże wiarygodni, bo choć o równość nawet trochę dbali, to już wspólnota demokratyczna i konstytucyjna pozostawała jedynie w sferze propagandy, jaskrawo niespójnej z autorytarną rzeczywistością. I dopiero w 1989 r. pojawiła się szansa na to, żeby obok wspólnoty etnicznej i kulturowej powstała narodowa wspólnota polityczna, oparta na dumie z własnego demokratycznego i praworządnego państwa. Paradoksalnie okres PRL dobrze się temu przysłużył, bo komunistyczna urawniłowka i wspólnota szarego życia (z małą pomocą telewizji) sprawiły, że różnice się pozacierały i naród etniczny stał się ostatecznie faktem. Co więcej, zespolił go raczej wspólny, ujednolicony język (propagowany przez radio i telewizję) oraz postacie życia publicznego (aktorzy, piosenkarze, sportowcy), a nie religia. Niestety, polityczne ideały nowoczesnego narodu pozostały jedynie w sferze frazeologii.

Rok 1989 miał to zmienić, lecz jakoś się nie udało. Polacy nie stworzyli narodu politycznego, a wolność znają wyłącznie jako niepodległość powiązaną ze swobodami osobistymi. Swego państwa nie pokochali, bo nigdy nie było ani piękne, ani dobre. Izolują się więc od niego, mając politykę w pogardzie.

JAN HARTMAN